

Sztuka pisania listów

Rozmowa z Profesorem Jerzym Bralczykiem

27 kwietnia 2021 roku

W 2009 roku ukazała się książka *Świat przez słowa*, w której objaśnia Pan pochodzenie, znaczenie, użycie wybranych słów. Zastanawiam się, jak poznamy świat przez słowo „list”. Czy mógłby Pan wyobrazić sobie, że poszerza tę książkę właśnie o oto słowo?

Przede wszystkim zastanowiłbym się nad relacją słów „list” i „liść”. Dlaczego liścik, który jest zdrobnieniem raczej od słowa „liść” niż „list”, oznacza właśnie pewien fragment korespondencji, listek z kolei, który bliższy jest listowi, jest zdrobnieniem od słowa „liść”. Te dwa słowa rzeczywiście wiele łączy. A istotna jest nie tylko etymologia, ale również nasze skojarzenia. Liść leci, kiedy spada. Listy też gdzieś w powietrzu się przemieszczają. „Liść” w swojej rodzinie ma jeszcze „listowie”. *Collectivum*, czyli tak zwany zbiorowy rzeczownik. „To listowie”, „w listowiu” mówimy, mamy na myśli wtedy cały zbiór liści. Kiedyś było też „to liście”. W znanym utworze mamy: nie — „lecą liście z drzewa, co wyrosło wolne” (mowa o Polsce oczywiście), tylko — „leci liście z drzewa”¹. To „liście” było także rzeczownikiem pojedynczym i oznaczało tyle co listowie. Możemy się zagłębić w to listowie i szukać skojarzeń, szukać połączeń znaczeniowych, formalnych, ale dzisiaj słowo zdrobniałe „liścik” od „list” zdaje nam się nie tylko naturalnym określeniem małego krótkiego listu. To będzie raczej nieformalny, intymny list. Możemy sobie nawet wyobrazić, że taki liścik jest wcale długi, ale jest przekazany nie tyle przez pocztę, co przez jakiegoś umyślnego posłańca, a może nawet

¹ Cyt. z wiersza Wincentego Pola *Leci liście z drzewa* (wszystkie przypisy M.W.).

w dzióbku gołębia go zobaczymy. Przypomina mi się oczywiście zaraz Słowacki: „Rozłączeni — lecz jedno o drugim pamięta; / Pomiędzy nami lata biały gołąb smutku / I nosi ciągle wieści [...]”². Ten gołąb smutku oczywiście nosi wieści wzruszające, niekoniecznie muszą one być tragiczne, ale jest to ten smutek romantyczny.

Słowo „list” zmieniło znaczenie, ale i odniesienie. Wprawdzie na mail rządziej dzisiaj mówimy list elektroniczny jak niegdyś. Ale też wiemy, że dzisiejsze listy mają już inny charakter. Są wysyłane owszem przez pocztę, jeśli są formalne, jeśli wymagają potwierdzenia, zwłaszcza listy polecane. Sam zresztą koresponduję w taki właśnie sposób czy to z wydawnictwami, czy z redakcjami. Wrzucanie listu do skrzynki to był pewien rytuał. Nie wiem jak młode pokolenia, ale ja miałem zawsze poczucie dziwnego stresu, który się pojawiał, kiedy połowa koperty już była w skrzynce. Wiedziałem, że jeden ruch, małe drgnięcie ręką i już stracę kontakt ze swoim słowem. Już będzie należało do kogoś innego, ale jeszcze mogę w tym momencie wyciągnąć list ze skrzynki, mogę go nie wysłać. Mogę go zmienić na przykład. Panuję nad nim. To trochę przypomina sytuację, kiedy klikamy klawisz, wysyłając komunikat. To jest ten moment ciekawy pod względem psychologicznym, przynajmniej dla mnie. Może też dla innych. To jest zresztą właściwe naszemu mówieniu. Kiedy coś powiedzieliśmy, nie możemy cofnąć. Słowo się rzekło. Kiedy piszemy, wciąż nad tym panujemy. Podczas pisania jesteśmy panami czy paniami listu, gospodarzami tego listu. Potem w momencie kliknięcia dzisiaj, wrzucenia do skrzynki niegdyś, przestajemy nad tym panować. Wbrew pozorom nadawanie listu poleconego na pocztę daje nam poczucie łatwiejszego rozstawania się z tym listem. Tam możemy go jeszcze wycofać.

To są oczywiście sprawy związane z naszą językową komunikacją, kiedy chcemy być w jakiejś relacji z kimś. Zresztą to różnie bywa z tym poczuciem nadawczym. Ciągle mi się przypomina zwyczaj rzymski. Rzymianie, pisząc list, używali czasu przeszłego wobec swojej terażniejszości pisania. Stawiali się w pozycji odbiorcy, nie mogli napisać: piszę do ciebie ten list, lecz pisałem do ciebie ten list. Wiedzieli, że ten, kto to będzie czytał, będzie już z tej perspektywy na list patrzył. My chcemy jako nadawcy też po części być odbiorcami. To nam także zapewnia jeśli nie kontrolę, to w każdym razie łączność ze swoim własnym słowem.

Wspomniał Pan już poniekąd o tradycji i zasadach związanych z pisaniem listów. Kiedyś istniały przecież podręczniki pisania listów.

Tak, mam nawet w swojej bibliotece kilkanaście takich starych podręczników, poradników, instruktarzy.

Formy grzecznościowe jako wytyczne znajdowały się w tego typu publikacjach, dziś zmieniają się pod wpływem ewolucji listu i tego, jak odnajdujemy się w rozpoznawaniu pewnych zasad. Myślę, że oczywiście wiadomości elektroniczne też odgrywają ogromną rolę w tych przemianach.

Zdecydowanie. Można powiedzieć, że my przez cały czas uczymy się czegoś, co być może jest nawet ważniejsze niż to, co jest ściśle przedmiotem naszego uczenia się. Dyrektor jednej ze szkół niedawno powiedział, że dzieci na zdalnych lekcjach uczą się pewnego rodzaju ko-

² Pierwsze strofy wiersza *Rozłączenie* Juliusza Słowackiego.

munikacji i ta nauka może być ważniejsza niż dane encyklopedyczne, które na lekcji czasem bywają przekazywane. Dzisiaj te zmiany technologiczne także w porozumiewaniu się są przez nas przyswajane i otwierają nowe przestrzenie, nowe możliwości. Popatrzmy na to z tej strony. Od dawna były instruktarze pisania listów, już w XVIII wieku. I tak zwyczajnie jest w różnego rodzaju przepisach czy to grzecznościowych *savoir-vivre*'ach, czy w innych spisanych zasadach życia codziennego. Możemy się zastanawiać, na ile jest to pożądane, na ile nie, na ile zabiera to spontaniczność, którą chcielibyśmy przecież w komunikacji także widzieć, naturalność. Jeżeli ja się zastanawiam, jak się zwrócić do kogoś bliskiego, to czy on naprawdę jest mi bliski. Jeżeli ktoś jest mi naprawdę bliski, to chyba nie myślę o tym, czy powiedzieć do niego „Janku” czy „Janeczku”, czy „Jasiu”, czy „proszę ciebie”, czy „słuchaj”, czy jeszcze jakoś inaczej. Myślę, że to się odnosi także do pisania. Jeżeli zastanawiam się, czy napisać „miły Janku”, czy „drogi Janku” albo na przykład „kochana Zosiu” czy „droga Zosiu”, to pewnie już coś jest nie takiego naturalnego między nami. Powinno to być, tak myślimy, spontaniczne. I to jest pierwsza strona, ale druga strona mówi, że będę bezpieczniejszy, nie zrobię przykrości. Sam sobie pokażę, że ta relacja jest dla mnie ważna. I „będę uważny”, „będę stosowny”, kiedy zastosuję regułę już znaną i społecznie zaakceptowaną. Trochę to przypomina naszą relację z istotą wyższą. Modlimy się tekstami wyuczonymi. Mówimy: „Ojciec nasz, któryś jest w niebie”. Modlitwa powinna być indywidualna. Przecież modlitwa nie powinna składać się z tych powtarzanych wielokrotnie zdań. Tym bardziej że przez to zapominamy, co one znaczą, powtarzamy je automatycznie. Człowiek się chroni w bezpiecznej modlitwie, bo wie, że Pana Boga wtedy nie obrazi. Mało tego, dzieci są nawet uczone, że jeśli przekręcą (tak było kiedyś, jak jest dzisiaj, nie wiem), formułę modlitwy, to jest może nie grzech, ale jakieś uchybienie. Czyli walczy w nas z jednej strony chęć naturalności (bardzo często nawet nieuświadomiana, bo jeżeli sobie uświadomiamy chęć naturalności, to już znowu naturalności nie ma w pełni), czyli dążenie do czegoś intuicyjnego, spontanicznego, a z drugiej strony chęć stosowania się do przepisów, do rygorów. I wiadomo, jak się pisze do stryjka, jak się pisze do cioci, jakie słowa uszanowania na początku się składa. Nie tylko formy adresatywne („szanowny”, „drogi” czy „kochany”, czy „miły”) się liczą, ale też i to co dalej. W jaki sposób mamy wyrazić szacunek komuś, do kogo szacunek czujemy. Brniemy w konwencję, w rytuały, które czasami mogą być nawet atrakcyjne, bo znajomość konwencji pokazuje, że jesteśmy dobrze wychowani i inni mogą nas za to podziwiać, mogą się na nas także wzorować.

Jak jest dzisiaj, trudno powiedzieć. Nie trzymam ręki na tym pulsie. Tym bardziej że w naszych dzisiejszych listach elektronicznych zaciera się różnica między słowem pisanym i mówionym. Zwłaszcza jeśli chodzi o czaty, o korespondencję bardzo bieżącą, polegającą na pytaniu, odpowiedzi i znowu pytaniu, i znowu odpowiedzi. To już jest trochę co innego. Tu formy honoryfikatywne nie odgrywają takiej roli. Radzi się, żeby w takiej korespondencji nie za każdym razem pisać formułę: „wielebny” czy „czcigodny”, „łaskawy panie”. A czy mogłoby tak być, gdybyśmy to uczynili przedmiotem żartów. Kiedyś rytualne formuły obowiązywały także w mowie. „Pan Wojciech mi przymówił: »Słyszysz waść« — mi rzecze. / Jak to waść! Nauczę cię rozumu, człowiecze” — pisze Krasicki w *Pijaństwie*. „Waść” było zbyt proste, a jeszcze „wać” można było powiedzieć. Z waszecia kogoś traktować bardzo było niedobre. Wiemy, że „waszeć” z „waszej miłości” pochodzi, ale jeżeli kogoś traktujemy „z waszecia”, to go raczej nie szanujemy nadmiernie. Nawet znaczenia skrótów umieszczanych na kopertach młodzi już może nie znają. Już nie spotykamy „Ł.P.”, czyli „Łaskawy Pan”.

„W.P.” czasami może jeszcze. Sam zresztą to „W.P.” stosuję jako „Wielmożny Pan”. Czy to Wielmożny naprawdę? Czy przypisuję wielką moc? To na pewno nie. Czy słowa „wielmożny” użyłbym w jakimś normalnym zwracaniu się do kogoś? To już tylko skrót. Czasem to jest „W.P.”, czasem to „W. Pan” albo „W. Pani”. Jeszcze to spotykam. A potem w środku, a co tam ma być? „Szanowny Panie” wydaje się formułą chyba najbardziej stosowną. Chyba najczęściej spotykaną także w korespondencji elektronicznej. Na kopercie skrót „Sz.P.” jest jeszcze często stosowany. „Szanowny Panie” zwracam się do kogoś, kto do mnie napisał, choć nie wiem, czy ma 16 lat, czy 96. To wydaje mi się najbezpieczniejsze. Oczywiście „Czcigodny” w odniesieniu do nastolatka byłoby raczej tylko albo żartobliwe, albo wysoce niestosowne. Mimo wszystko szacunek, jak niektórzy sądzą, należy się każdemu, a więc możemy i słowo „Szanowny” odnieść do kogoś bardzo młodego.

Niektórzy zaczynają, uważając, że jest to korespondencja bardziej zbliżona do mówienia, od pozdrowienia typu „dzień dobry”, rzadziej chyba „dobry wieczór”. Rzadko spotykam „dobry wieczór”, nawet jeśli wiem, że ktoś pisze do mnie wieczorem, dziwiłbym się i wtedy. Czasem mamy to uniwersalne „witam” albo „witaj”. Mnie to „witam” nastręcza trochę kłopotów. Jest wygodne, jest łatwe w formułowaniu i ustnym, i pisemnym. Mnie łączy się raczej z komunikacją ustną. Raczej zwraca się w ten sposób ktoś, kto ma może nie tyle przewagę komunikacyjną, ale jest nieco wyżej w tej relacji. Chociaż jeżeli ktoś wita w swoich progach, to już jest coś innego. Kiedy spotkam kogoś na ulicy starszego ode mnie... to już niemożliwe, nie spotykam starszych od siebie. Ale gdyby tak było, to bym nie mógł powiedzieć „witam”. To od niego raczej oczekivalbym, że on powie „witam”, a nie ja. Dzisiaj to się trochę już zatlarło. Podobnie zresztą jak formuła, za którą nie przepadam, a która się pojawia w rozmowie telefonicznej, a także w korespondencji mailowej, a więc „Panie Jerzy”. „Panie Jerzy” trochę mnie deranżuje. Na przykład czasem tak się zwracałem do studentów, zwłaszcza kiedy byłem już od nich znacznie starszy. Był kiedyś taki zwyczaj, że tak się mówiło do starszych nawet ludzi, z którymi się było w dużej zażyłości. Pamiętam, że do Pani Profesor Haliny Kurkowskiej, która była moją nauczycielką, promotorką na studiach, bardzo ważną dla mnie osobą, był zwyczaj, że jej seminarzyści mówili Pani Halino i nie było ujmę w tym żadnej. Bywało, że przy pewnej zażyłości imię przy pan, pani się pojawiało, bo to oznaczało, że jestem na pan, ale jestem bardzo blisko.

Kiedyś zresztą mówiło się „panie bracie”, „pani siostrze”, „pani matko”, „panie mężu”, „pani żono”, stąd też to „pan”. Bardzo ciekawe, że to na przykład było się wtedy za pan brat kimś. Ciekawa tu jeszcze jest biernikowa postać tego brata, bo nie za pana brata, tylko za pan brat. Tak jak skakało się na koń albo wychodziło się za męża, a nie za męża i nie na konia. Ale zwracano się do siebie per pan, bo ten pan był elementem uszanowania. „Grzeczność wszystkim należy, lecz każdemu inna; / Bo nie jest bez grzeczności i miłość dziecinna, / I względ męża dla żony przy ludziach, i pana / Dla sług swoich, a w każdej jest jakaś odmiana” — jak mówi Sędzia w *Panu Tadeuszu*. Mickiewicz zresztą kiedyś użył jeszcze innej formy w *Dziadach*. Diabeł tak mówi Szatanowi: „Trudno mu się tłumaczyć, bo z nim nie brat za brat”, ale to już jest inna trochę sprawa.

Jest jeszcze inna moda w zwracaniu się także listownym, ale i w mowie. Jeżeli się ma jakiś tytuł czy stopień, czy jakieś inne określenie, które przyrosło do nazwiska. I tutaj czasem pojawia się na przykład inny zwyczaj gramatyczny. Panie Sędzia mamy w *Panu Tadeuszu* albo panie Hrabia. Panie Hrabia wydaje się trochę gorsze niż panie hrabio, prawda? Ale z drugiej strony też pojawiają się inne jeszcze określenia w takiej właśnie formule ustnej. Na przykład

w Polsce jest niemożliwe albo bardzo rzadkie zwracanie się z użyciem nazwiska. Jeżeli ktoś do mnie mówi panie Bralczyk (czy to jak niektórzy nawet robili panie Bralczykku), to trochę bywa śmieszne. Czasem ludzie zwracają się z pominięciem słowa „Pan”, czyli mówią na przykład do mnie „Profesorze”. Mógłby tak wyglądać nagłówek listu: „Profesorze”. Niektórym to nie odpowiada. Przyznam, że mnie coś w tym się podoba. Tak jak hrabio na przykład. Ktoś, kto jest z kimś na hrabia czy baron. Kiedy czytamy *Lalkę*, to tam mamy raz „panie baronie”, a raz „baronie”. Ale jeżeli by to zrobił jakiś mój kolega profesor, z którym nie jestem na ty, nie obraziłbym się za samego „Profesora”. Ale to jest kwestia indywidualnego odbioru, ponieważ nie wiemy, jak zareaguje odbiorca, powinniśmy w pełni cały tytuł zachować. Niektórzy cieszą się, kiedy mogą napisać „wielebny” albo „najprzewielebniejszy”, bo wiedzą, że w ten sposób pokazują też swoje dobre umocowanie w kulturze. W każdym razie dostaję najczęściej list zaczynający się od „Panie Profesorze”, czasami „Szanowny Panie Profesorze”. Nic mi to nie przeszkadza, ale jeśli ktoś napisze tylko „Panie Profesorze” też dobrze. Natomiast dziwne by było w tej funkcji „Proszę Pana”.

Kiedy ktoś pisze „dzień dobry”, czuję się zdziwiony. Nie jest tak, że mam komuś za złe — albo że napisał „witam” nawet. Przy „witam” trochę się wzdragam, ale w odróżnieniu od innych moich kolegów, którzy mówią, że nie odpisują na takie listy, mogę powiedzieć, że tak samo nie odpisuję na nie, jak na inne, czyli nie różnicuję. Albo odpisuję, albo nie odpisuję. Nie na wszystkie listy odpowiadam, co jest z mojej strony pewnym rodzajem może niegrzeczności. Jeśli zawierają te listy pytania bardzo banalne, takie, na które odpowiedź nie jest wcale tak głęboko ukryta, to wtedy zdarza mi się nie odpisywać. Ale zdaje się, że już odpowiadam na jakieś inne pytanie.

Zaczęliśmy naszą rozmowę od aspektów użytkowych listu. A chciałabym zapytać jeszcze o inną sytuację — upubliczniania korespondencji pisarzy, polityków, naukowców, znanych osób. Tych tomów pojawia się coraz więcej. Są to na przykład listy Iwaszkiewicza, Mrożka, Szymborskiej i Filipowicza, Szymborskiej i Herberta, Giedroycy, Chopina, Flauberta i George Sand. Można mnożyć kolejne publikacje. Pierwotnie komunikacja wydaje się dosyć oczywista między nadawcą i adresatem. Jak zmienia się sytuacja komunikacyjna w momencie upublicznienia tych listów albo ich opublikowania?

To kwestia stosowności. Listy bywają intymne. Na pewno kultura byłaby uboższa bez listów Abelarda i Heloizy. I tu dobrze, że się tak stało: z perspektywy wieków. Cieszę się, że są listy Sobieskiego do Marysieńki. Cieszę się z tego jako ich czytelnik. Wiem, że to coś nam dzisiaj daje. Ale mam zawsze pewne wątpliwości związane z relacją adresata i odbiorcy. Adresat i odbiorca to nie są te same osoby. Adresatem jest ktoś, do kogo się zwracamy, komu coś mówimy, komu coś piszemy, a odbiorcą może być ktoś inny. Może być cenzor, może być urzędnik na poczcie niedyskretny, który otwiera list. Może być to wreszcie zazdrosny mąż, który czyta listy do żony pisane. Może to być rewident, który robi rewizję i czyta takie listy. To są sytuacje bardziej sformalizowane. Wreszcie może to być czytelnik. Kiedy zdarza mi się czytać takie listy (rzadko mi się zdarza od razu powiem), jest coś, co powściąga mnie przed kupnem i potem czytaniem. Byłem i jestem wielbicielem twórczości Jeremiego Przybory. Znam wiele jego tekstów na pamięć. Niezwykle cenię twórczość Osieckiej. Ale książki *Listy na wyczerpanym papierze* nie otworzyłem. Wydało mi się, że popełniłbym niedyskrecję. Mało tego, wydaje mi się też, że wydawnictwo liczyło oczywiście na dobrą sprzedaż tych tekstów.

Mało tego, mogą powiedzieć — piękna literatura, szkoda, żeby nie dostała się w ręce tak zwanego szerokiego czytelnika. Pewnie, tak. Kiedy czytamy czasem, czy kiedy wpadają mi w ręce listy, które były pisane do jednej osoby, wielostronicowe listy zawierające niezwykle ciekawe rozważania, też mam czasem takie myśli. To nie są powieści w listach, jak to bywało w XIX wieku. Ileż mamy takich powieści w formie listów...

Klasyka — *Niebezpieczne związki...*

Chociażby tak. Bardzo dużo tego było. Listy były tylko wtedy formą literatury. Były skierowane do czytelników. Czasem można mieć wrażenie, że nawet jeżeli jeden intelektualista do drugiego pisze, też ma nadzieję na upublicznienie. To jest trochę tak, jak zresztą z pamiętnikami bywa, rzadko który pamiętnikarz nie myśli sobie: a! przeczytają to później. Bo przecież nawet najintymniejsze zapiski chyba po to są zapisywane, nie tylko do siebie w przyszłości ja to piszę. Pamiętnik mógłby być rodzajem listu do siebie samego po latach. Teoretycznie tak mogło być, ale mimo wszystko, jeżeli to jest upubliczniona korespondencja, która nie była w tym celu pisana... Czytamy listy do matki Słowackiego. To jest utwór literacki. Czytamy także obszerną korespondencję Krasińskiego czy Sienkiewicza chociażby. Nawet te listy amerykańskie czy afrykańskie to są przecież także utwory o charakterze mininowelek. Zresztą te listy były kiedyś pisane do czasopism. To się też zdarza. Ale korespondencję innych osób? Kiedyś politykami byli intelektualiści. W każdym razie częściej niż dzisiaj. Ich listy mogłyby być i są interesujące. Nie mielibyśmy podejrzania czasami, że bardziej przyciągają nas jakieś sensacyjne wątki, jakieś skandalizujące nawet fragmenty. Takiej lektury bym sobie odmówił. I odmawiam sobie bardzo często, nawet jeśli chodzi o to, że chcę wiedzieć jak najwięcej. Oczywiście, że czytałem wszystkie listy Mickiewicza. Musiałem przeczytać, ale łącznie z tymi, które nie są takie bardzo ciekawe.

Współcześnie w krytyce zwraca się między innymi uwagę na autobiografizację korespondencji, na jej aspekt kreacyjny, o którym Pan też wspominał. Bardzo często korespondencja jest traktowana jako dokument, źródło historyczne albo komentarz do twórczości. Ku jakiemu podejściu Pan się skłania?

Nie widzę między tymi podejściami zasadniczej opozycji. Jedno i drugie, i autobiografizacja, i powiedzmy dokumentacja to są sprawy dość podobne w sumie. Zależy, jak je traktujemy. Mnie interesował w listach kontekst. Raczej to, jak się pisze o rzeczach zewnętrznych. Dokumentacja czasu jest dla mnie ważniejsza niż przeżycia. W ogóle biografistyka nie wydaje mi się czymś kompletnie niezbędnym w przypadku ludzi poza sztuką. Moglibyśmy powiedzieć, że biografia kompozytora rzuca pewne światło na jego muzykę i możemy lepiej doznawać tej muzyki, kiedy wiemy, kim był Strawiński albo Renoir. I to możemy sobie wyobrazić. Choć ja akurat nie jestem ani na tyle znawcą muzyki, ani malarstwa, żeby uważał, że mnie to wzbogaci. Niekoniecznie muszę wiedzieć, ile miał dzieci Bach. To nie jest dla mnie najważniejsze akurat w tym momencie, ale wierzę, że są ludzie, dla których to ma pewne znaczenie. A jeśli chodzi o umieszczenie w historii? To ciekawsze bywa, jak wtedy świat wyglądał oczami kogoś, czyja wizja wydaje nam się ważna dzisiaj.

Zapytam przewrotnie, już znając Pańskie stanowisko. Czy według Pana istnieje taki rodzaj korespondencji, który wbrew woli autora, ze względów historycznych albo właśnie naukowych, może zostać opublikowany?

Wszystko może być opublikowane. Czasami po pewnym zastanowieniu. Wydaje się, że niepewność co do autorstwa (na przykład sławne listy do Delfiny Potockiej Chopina) dodaje smaku nawet listom. Wie pani, z jednej strony możemy myśleć o naszym prawie do poznawania życia tych ludzi, którzy z różnych powodów byli publiczni. Jest to nawet umocowane w prawie, że człowiek publiczny musi się liczyć z tym dzisiaj. Myślę, że są takie publikacje, powiedziałbym niskonakładowe, i dopuszczałbym korespondencję także w takiej właśnie formule. Może nawet opatrzoną przypisami. To bym zrozumiał, jeżeli w nakładzie 700 egzemplarzy, a jeszcze lepiej 300 ukaże się taka korespondencja opatrzona przypisami. Mogę powiedzieć, że to badaczom powinno wystarczyć. Ale ileż rzeczy pozostało w rękopisach! Kiedyś w Kórniku szukałem pamiętników i diariuszy szlacheckich z XVII wieku. Ileż tam tego jest i nie będzie to nigdy wydane. Czy może pani sobie wyobrazić, że duża część tekstów Leibniza do tej pory jest jeszcze niepublikowana, a trochę czasu już upłynęło. I dlatego też to były zapiski. Zapiski i listy mają w sobie coś podobnego. Czasem wydaje się, że kultura jest uboższa, że nie jest to w powszechnym obiegu, ale to są rzeczy chyba trudniejsze do rozpatrywania, a zwłaszcza ja chyba nie jestem do tego uprawniony. Mówię jako czytelnik, a nie jako językoznawca. Zdaje się, że już dawno wykroczyłem poza swoje kompetencje, a nie bardzo powinienem.

Korespondencja, o której cały czas mówimy, jest uwikłana w pewne poczucie intymności, tajemnicy, poczucie etyki, które towarzyszy czytaniu pewnych listów. Są listy pełne szyfrów i one, jeżeli zostają upublicznione, zostają opatrzone bardzo skrupulatnie przez edytorów siecią przypisów, wyjaśnieniem kontekstów, dat i tak dalej, osób, które już dla czytelnika nie są oczywiste...

Muszę dopowiedzieć. Przypomniało mi się coś. Wyobraziłem sobie, jakby to było: czy Samuel Pepys, który pisał swoje dzienniki, szyfrując obficie, zdawał sobie sprawę z ewentualnej późniejszej lektury? Czy on celowo to robił, żeby nikt tego nie przeczytał, tylko on sam? Czy też myślał, że dostarczy swoim przyszłym czytelnikom wiele zabawy przez to, że będą mogli deszyfrować, rozszyfrowywać wszystkie jego skomplikowane, zaszyfrowane właśnie teksty?

To wtedy byłby rodzaj gry jednak.

To byłby rodzaj gry. Taki, który mógłbym zrozumieć: piszę to tak, żeby to przeczytali tylko ci, którzy potrafią czytać. To nie tak jak Rej, który pisał do tego, co to będzie czedł, czyli do tego, kto będzie czytał i już. Przepraszam, odniosłem się do pierwszej części pytania.

Chciałabym przytoczyć fragment listu Juliana Tuwima do Antoniego Słonimskiego, który wydaje się bardzo dobrą ilustracją tego, jak zaszyfrowana może być korespondencja przyjaciół. Tuwim pisze tak: „Jak każdy Twój list, tak ten mnie rozśmieszył. Czy zdajesz sobie sprawę, że Twoje listy będą kiedyś wielką rzadkością, opłaconą przez kolekcjonerów

»na wagę złota«? Dla paru powodów: 1) jako listy Antoniego Słonimskiego, 2) że ich będzie mało, bo, jak wiadomo, nie jesteś skory do korespondowania, 3) ze względu na treść, jakże nie licują z piękną i podniosłą twórczością znakomitego poety.

W związku z tym trzecim punktem chciałbym Cię, kochany przyjacielu, ostrzec, że jestem w posiadaniu sporej paczuski Twoich listów do mnie, pisanych do Ameryki... Mam też kilka przedwojennych, które znalazłem wśród ocalałych papierów... Nie wiem, czy uświadamiasz sobie, ile tam brudów (w sensie pornograficznym), błazeństw, tereberyzmów³, najciemniejszych bredni, byków ortograficznych etc., etc.”⁴.

W tym krótkim fragmencie korespondencji, która jest fenomenalna ze względu na wirtuozerię języka, widać poczucie humoru, absurdu, które przecież łączyło Słonimskiego i Tuwima.

Przewrotność w ich relacji także bardzo dobrze się ujawnia w jednej z dedykacji, którą napisał Tuwim Słonimskiemu w jakimś albumie, chyba Brehma, zawierającym różne opisy zwierząt: „Ulubionemu zwierzęciu jego stary dobry Pan”. Tęgo rodzaju żarty pojawiają się w dedykacjach, które są przecież rodzajami listów. To jest osobna zupełnie sprawa. Kiedy Tuwim i Słonimski potrafili bawić się, nie bardzo było wiadomo, gdzie zabawa formą przechodziła w zabawę treścią. Połączenie formy z treścią, któremu zresztą poświęcił Tuwim jedną ze swoich wspaniałych książek, czyli *Pegaz dęba*, także ujawnia się w korespondencji czy w zanotowanych rozmowach, czy właśnie w dedykacjach. Nawiasem mówiąc, pisząc list, czasami możemy zabrnąć za daleko, bawiąc się formą. Zdarza mi się grzeszemu człowiekowi, także dzisiaj w elektronicznych listach czasami iść trochę wbrew treści, wbrew komunikacji prostej, przez żarty słowne, przez formalne reakcje na jakieś wypowiedzi. Uważne czytanie listów innych jest dobrym wstępem do pisania listów własnych, ale dzisiaj piszemy rzadko. Co będzie potem, kiedy już tylko mentalnie będziemy się komunikować? Czegoś będzie może brak. Tak jak brak nam płamy z atramentu na palcach, które zostawały po napisaniu listu...

Kiedy zaczynał Pan mówić o etymologii słowa „list”, „liść”, zaczęłam się też zastanawiać nad biologicznym, sensualnym wymiarem papierowej korespondencji. Kiedy jednak widzieliśmy, czy ktoś pisał długopisem, czy używał pióra, jaki miał charakter pisma. To też jest przecież bardzo istotne.

Ależ oczywiście. Kiedyś ćwiczyło to na lekcjach kaligrafii. Ale też jaki to był papier, jaka była papeteria. Wybór papeterii był znaczący. Nadruki, które tam się pojawiają. Niektórzy specjalnie upuszczali kroplę wody, żeby udawała łzę rozmazującą ostatnie słowa pożegnania. Inni próbowali właśnie przez pozornie niedbałą pisownię pokazać, jaki się miało emocjonalny stosunek. Dziś mamy emotikony najróżniejsze. Znowu mi się przypomina Mickiewicz, który w wykładach żałował, że Pasek nie miał takich znaków interpunkcyjnych, które by pokazywały, że oto chwyta za karabelę albo gładzi się ewentualnie po czuprynie. I to byłoby coś w rodzaju dzisiejszych emotikonów możliwe. Ale przecież uśmieški rysowało się od bardzo dawna, serduszka na zakończenie także. Próbowano się tych wszystkich chwytów.

³ Julian Tuwim pisał „terebere” (od: tereferę) — w znaczeniu głupstw, bredni. Podtytuł jednego z fragmentów artykułu Tuwima *W oparach absurdu* brzmi *Terebere* (J. Tuwim, *W oparach absurdu*, „Wiadomości Literackie” 1934, nr 52/53, s. 16).

⁴ J. Tuwim, *Listy do przyjaciół-pisarzy*, oprac. T. Januszewski, Warszawa 1979, s. 234–235.

Nasza niezdana interpunkcja, która próbowała oddać intonację, niestety nie zapewniała takich możliwości. Ale pisanie rozstrzelonym drukiem, podkreślanie wielokrotnie, pisanie wielkimi literami to wszystko w liście było możliwe i stosowane. Te zakończenia, których na przykład odcisk warg uszminekowanych przypominał serduszek. To wszystko zawierała w sobie koperta. A wiadomo było, że szerszy miało mieć wymiar niż słowa. Jeżeli łaza co z oczu moich spływa tam na końcu gdzieś... W końcu pisma postawić *vale*, jak się wie, jak pisał Puszkina w *Eugeniuszu Onieginie*, było w dobrym stylu, żeby było jakieś żegnam. *Et me amantem redama*, czyli kocham i nawiązuję do tego, żeby mnie kochającemu miłością odpowiedzieć. Ale cóż, listy bywały bardzo długie, ale bywały też bardzo krótkie. Na „Eo rus”, co miało znaczyć — jadę na wieś, Attikusa, Cyzeron odpowiedział: „I”. To był najkrótszy list i chyba nikt tego nie pobije, bo nawet wśród liter ta literka była najuboższa graficznie.

Czyli jest to przykład najbardziej lapidarnego listu na świecie?

Chyba tak. Moglibyśmy jeszcze myśleć, że list pusty byłby takim rekordem. Ale myślę, że chyba już powinien być zdyskwalifikowany w tej konkurencji ktoś wysyłający pustą kopertę albo też czystą kartkę. Zresztą takie czyste kartki papieru podgrzane nad świecą albo skropione sokiem z cytryny pokazywały czasami bardzo interesujące treści...

Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.

Magdalena Wasąg

Jerzy Bralczyk, profesor, językoznawca, ekspert językowy zaangażowany w działalność popularyzatorską w sferze poprawności języka, a także języka polityki, reklamy, prawa. Jest wiceprzewodniczącym Rady Języka Polskiego oraz członkiem Polskiego Towarzystwa Językoznawczego, Komitetu Językoznawstwa Polskiej Akademii Nauk. Jest autorem wielu artykułów i książek, m.in. *O języku polskiej propagandy politycznej lat siedemdziesiątych* (1984), *Język na sprzedaż, czyli o tym, jak język służy reklamie i jak reklama używa języka* (1996), *Mówi się. Porady językowe profesora Bralczyka* (2001). Prowadzi programy radiowe i telewizyjne, które cieszą się dużą popularnością (m.in. program *Mówi się* emitowany w latach 2001–2007 na antenie TVP Polonia).

Magdalena Wasąg, doktor, asystentka w Zakładzie Literatury Polskiej XX i XXI w. Uniwersytetu Łódzkiego. Jest autorką monografii *W cieniu ojca. Awangarda prozatorska lat 30. XX w. Rudnicki, Napierski, Schulz, Tarn* (2019). Publikowała w „Schulz/Forum”, „Kontekstach”, „Teatrze”, „Didaskaliach”, „Twórczości”. Brała udział w konferencjach naukowych organizowanych podczas Międzynarodowego Festiwalu im. Brunona Schulza w Drohobyczu (2016, 2018). W latach 2019–2020 pełniła funkcję sekretarza czasopisma „Zagadnienia Rodzajów Literackich”. Obecnie realizuje projekt badawczy poświęcony spuściźnie Adama Tarna w ramach konkursu „Granty dla młodych badaczy” UŁ Inicjatywa Doskonałości — Uczelnia Badawcza. Kontakt: magdalena.wasag@uni.lodz.pl